

Marcin Gienieczko

ZATAŃCZYĆ Z AMAZONKĄ

**CZYLI JAK ZREALIZOWAŁEM WIELKI TRIATHLON
PRZEZ AMERYKĘ POŁUDNIOWĄ**



NOVAE RES

ZAPASY Z NURTEM

Charakter człowieka ujawnia się najwyraźniej i najczęściej, kiedy człowiek zostanie odsunięty od swego codziennego otoczenia i postawiony przed czymś nowym.

Hermann Hesse

Canoe znowu płynie, a ja, rytmicznie zaciskając dłoń na pagaju, zagarniam każdy metr tej gigantycznej rzeki. Płynę wzdłuż rozciągającego się nabrzeża Manaus, kanału portowego wraz z przyległymi terenami portowymi. Policjanci ruszyli w dół rzeki. Próbuję ominąć zakotwiczone statki oceaniczne. Do dzisiaj w głównym nurcie Amazonki nie postawiono żadnej tamy, a nad rzeką nie ma przerzuczonego żadnego mostu. Przy pokonywaniu tego dystansu statki napotykJą różne problemy. Na Amazonce występuje zjawisko prądów pływowych, a co za tym idzie szybkie przemieszczanie się płycizn. Tam, gdzie miesiąc temu rzeka była głęboka na 13 metrów, obecnie może być już tylko siedem. Próba pokonania takiego obszaru statkiem o większym zanurzeniu może się skończyć wejściem na mieliznę. Średnio dwa razy w ciągu miesiąca statki pełnomorskie są właśnie w taki sposób unieruchamiane. Powodem tej sytuacji jest fakt, że posiadanie aktualnych informacji o płyciznach jest niemożliwe do osiągnięcia przy tak często zmieniającej się drodze wodnej – jedyne rozwiązanie to kontakt z innymi kapitanami, którzy także żeglują po Amazonce⁶².

Na Mackenzie od Wielkiego Jeziora Niewolniczego rzeka jest znakowana dla dużych barek przy pomocy boi, to samo dotyczy rzek Europy. Tutaj taki system nie istnieje, liczy się tylko zmysł kapitana i jego zespołu.

Prawie żaden statek oceaniczny nie płynie Amazonką od Belém, ponieważ znajduje się tam za duże wypłaszczenie, a liczne koryta delty tworzą swego rodzaju

labirynt. Jednak wielu podróżników i badaczy traktuje właśnie to miasto jako właściwe dla określania długości rzeki i to właśnie port w Belém jest uznany przez wielu za jej koniec. Warto tu jednak wspomnieć, że Mike Horn zakończył swój spływ w Macapie (to północna część delty Amazonki). Moją metą także ma być Belém.

Ze względu na zmienność rzeki poleganie tylko i wyłącznie na tych mapach sił morskich Brazylii nie byłoby rozsądne, ponieważ kształt linii brzegowej rzeki odbiega od rzeczywistości. Przekonałem się o tym osobiście, przygotowując trasę do GPS-a przed przemierzaniem Amazonki. Niezwykle ciekawe było rozrysowanie szlaku po tak zwanych zakolach rzecznych. Można było wybrać „jazdę na skrót” także przez boczne odnogi, przez miejsca, gdzie nawet według Google Earth brakuje głębokości. Zdarzało się, że było widać, że nie płynę po rzece, a po lądzie. W rzeczywistości jednak np. echosonda, badająca głębokość rzeki, pokazywała kilkanaście metrów głębokości. Dla mnie nie ma to znaczenia, ale dla dużych statków to „być albo nie być”. Zarówno ja, jak i duże statki trzymamy się zawsze głównego nurtu rzeki.

Mijam kolejnego giganta. Jest tak duży, że wachtowi oficerowie patrzą na moje canoe jak na kłodę drewna, którą niesie nurt brązowej rzeki. Ominięcie tych wszystkich dużych zakotwiczonych olbrzymów nie jest łatwym zadaniem. Często trzeba wypłynąć kilkanaście metrów od takiego statku, aby nurt nie zniósł łódki prosto pod dziób kolosa. Kiedy płynę, wydaje mi się, że statek płynie na mnie. Jednak kiedy się zbliżam, z każdym metrem okazuje się, że statek stoi na tak zwanej becze cumowniczej, która zakotwiczona jest na dnie rzeki. Długie na 50 metrów liny są przeciągnięte przez pierścień cumowniczy na becze i wciągnięte na pokład statku, gdzie pozostają obłożone na polderze (rodzaj pacholka) mocno przymocowanym do szkieletu statku. Spełniają one rolę uchwytu w celu zatrzymania każdej jednostki pływającej. Nurt w tych miejscach, gdzie są zakotwiczone becзки, jest bardzo niespokojny. Przyspiesza i wiruje.

Na jednej ze stron internetowych⁶³ już po powrocie do kraju wyczytałem, że: „Wielka rzeka robi wrażenie o każdej porze roku. W porze deszczowej, czyli w czasie gdy u nas jest lato, można kajakiem po cichu przesuwac się po zalanych lasach, a podczas pory suchej, która zaczyna się w grudniu, wyjść na suchy ląd i spojrzeć na Amazonkę z innej perspektywy. Rzeka oferuje wiele niecodziennych atrakcji, takich jak połowy piranii, spływy kajakiem, spotkania z lokalnymi społecznościami zbieraczy gummy”. Niestety na takie obserwacje nie miałem czasu. Ciągłe mnie gnało do przodu.

Wpływam na tak zwane „spotkanie wód” – to jedna z głównych atrakcji turystycznych regionu Manaus. Rzeka przypomina kolorem kawę. Ale niech ten kolor nikogo nie zwiedzie. Pić wody z Amazonki po prostu nie wolno, chyba że się ją przefiltruje. Jednak najlepiej mieć ze sobą wodę pitną. W moim canoe przewożę ją w dwudziestolitrowych kanistrach. Służy ona i do picia, i do stabilizowania łodzi. Stanowi dociążenie canoe. Wbrew pozorom obciążona łódka lepiej trzyma się wody, a nawet szybciej płynie, ważne w tym wszystkim jest balastowanie. Te kanistry z wodą właśnie służą mi jako balast. W terminologii żeglarskiej balastowanie to nic innego jak przeciwdziałanie momentowi przechyłającemu jednostkę, a będącemu wynikiem oddziaływania wiatru.

Wiatry są duże na Amazonce, to bardzo ważna informacja. Pamiętam, jak Piotr Chmieliński w licznych konsultacjach z moim ojcem pisał, że od wypłynięcia na wody brazylijskie będę miał duże problemy z wiatrami ze wschodu, że będę musiał wypływać o zmroku. Zaznaczał, że około trzynastej, czternastej wiatr będzie mnie spychał w górę rzeki. Te słowa potwierdziły się na dopływie Amazonki, Rio Napo. Tutaj na głównym biegu największej rzeki świata tego nie odczuwałem, ale dopuszczałem, że to stanie się niebawem, kiedy wyraźniej poczuję wiatr znad oceanu. Wiatry zazwyczaj tutaj słabną około godziny 17:00.

Najtrudniejsze jest pokonywanie kanałów, które wpływają w główny nurt. Wówczas oba nurty zderzają się. Powstaje wysoka, krótka fala stojąca, która w każdej chwili może wyrzucić canoe. Czasami ma półtora metra wysokości. Pokonywanie takich kanałów bywa bardziej niebezpieczne niż przepłynięcie na drugą stronę samej Amazonki. Czasami czuję się jak na górskiej rzece w jej środkowym biegu, gdzie tak naprawdę wody powinny być spokojne.

Zatrzymuję się przy dużej drewnianej platformie. Za dnia podpływają tu łodzie i mogą zatankować paliwo. Gospodarz pozwala mi przenocować. W nocy przyplwają policjanci. Ledwo oddycham, tak duszno. Podpływają, kiedy rozstawiam już namiot w ciemności. Dookoła rosną lasy namorzynowe. Poruszanie się po nich jest bardzo żmudne i ciężkie, kilometr marszu w lesie trwa nawet 8 godzin. W Polsce taki odcinek potrafimy pokonać w 5 minut. Biorąc pod uwagę faunę i florę, to bardzo trudny dla człowieka teren.

Policjanci rozwiesili swoje hamaki, załadowali ostrą amunicję do broni. Karabiny i pistolety zawsze mają w gotowości. Ćmy i inne insekty kręcą się na wysokości czoła, gdyż tam wiązki światła z mojej czołówki próbują rozświetlić wszystko, co jest w pobliżu stóp. Jeden z większych komarów wpada mi do ust i o mało co się

zakrztusiłem. W nocy ciężko chodzi się w okularach, więc muszę przeganiać ręką chmary insektów. Próbuje coś zjeść, lecz w takim ukropie nie odczuwam apetytu, najlepiej smakuje zimne piwo. To kolejny dzień na rzece, gdy zajadam się przygotowanym na szybko spaghetti bolognese. Kiedy człowiek jest syty i opity, bardzo szybko zapada w sen.

Po moim opuszczeniu Manaus ksiądz opisał na swoim blogu mój pobyt. To miło, że ktoś na tej wielkiej rzece wierzy w mój plan zdobycia Amazonki.

Pod koniec lipca zatrzymał się u nas polski podróżnik pan Marcin Gienieccko. Przypłynął sobie w canoe. Może nie byłoby w tym nic niezwykłego, ale on tym swoim canoe do nas przybył aż z Peru, prawie od źródeł Amazonki. Kim jest ten dzielny Polak? Na jednej z jego stron internetowych można przeczytać, że jest dziennikarzem, fotografem i podróżnikiem specjalizującym się w sportach ekstremalnych. No cóż, dla mnie to, co robi, jest rzeczywiście wyjątkowo ekstremalne. Nawet nie umiem sobie wyobrazić jednego dnia takiego wiosłowania w canoe. Dla niego zaś to najwyraźniej rozrywka. Kiedy w Manaus dopłynął do Hotel Tropical na Ponta Negra, to sobie po prostu wyskoczył ze swej łódki i jakby nigdy nic przez ponad godzinę rozmawiał z dziennikarzami, udzielił kilku wywiadów i pozował do zdjęć. (...) Mówił nam tutaj, że codziennie śpiewa sobie «Barkę». Jest człowiekiem bardzo wierzącym. To zaś jest przecież najważniejsze. Ufam, że wiara da mu siłę, aby zmierzyć się z każdym niebezpieczeństwem i pozwoli mu ze wszelkich opresji wyjść cało i zwyciężyć⁶⁴.

O tych spostrzeżeniach księdza dowiedziałem się podczas kolejnej rozmowy z ojcem przez telefon satelitarny. Bez łączy satelitarnych tutaj w dżungli amazońskiej trudno byłoby mi wiele rzeczy zorganizować. Trzymając się zasad morskich, dzielny człowiek myśli o sobie na końcu. Płynięcie, rekordy, walka z samym sobą – tak, ale w tym wszystkim najważniejsza jest rodzina. Tutaj wśród dzikości amazońskiej dżungli wyłania się fundamentalna mądrość – naprawdę najważniejsze rzeczy to rodzina, przyjaciele, przywoitość, piękno i przede wszystkim miłość, a płynięcie to nic innego jak każdy dzień dojrzewania do tego, aby wszystko zrozumieć i osadzić w umyśle, który jest rozchwiany na posztormowej fali rzeki widzianej z kosmosu. Płynięcie naprawdę liczy się bardziej niż cel. Choć ten cel już jest mocno odczuwalny. Budzi się coraz częściej duch rywalizacji, aby szybciej osiągnąć metę i cieszyć się życiem codziennym z rodziną.

W trakcie płynięcia mam też duży doping wielu ludzi. Wielu pasjonatów te zmagania też obserwuje i pyta o moje postępy, gdyż niektórzy chcą iść tą samą drogą co ja. Jeden z maili szczególnie utkwił mi w pamięci:

Piszę do Pana, gdyż tak samo jestem zafascynowany światem, dalekimi podróżami. Chyba nie pasuję do tego świata i koniec. Ciągłe ktoś mi powtarza, że to głupie, że powinienem się skupić na życiu codziennym, na zarabianiu. Nikt z rodziny ani ze znajomych nie potrafi zrozumieć mojej pasji. A przecież w życiu chodzi o to, by być szczęśliwym, a nie brać udział w wyścigu szczurów. Jestem chory na zespół Tourette'a. Jest to wrodzone zaburzenie neurologiczne charakteryzujące się przede wszystkim występowaniem licznych tików ruchowych i werbalnych. Jest organicznym schorzeniem mózgu i co z tego?

Ciągnie mnie daleko poza granice świata, który znam. Odkąd pamiętam, zawsze fascynowałem się światem, zagadkami nauki i cywilizacjami, nigdy też nie lubiłem się uczyć tego, co mi kazali w szkole, miałem swój świat, świat pełen marzeń, przygód i tajemnic. Nie chcę żyć, trzymając się kurczowo życia i reguł, które mamy narzucone z góry, po prostu nie chcę... nie potrafię i już... Kocham wolność i niezależność. Adrenalina, przygoda, nowe miejsca i ludzie, pokonywanie własnych słabości i sprawdzanie się w trudnych warunkach to jest to, co mnie kręci i nadaje mojemu życiu sens.

Od pewnego czasu coraz częściej myślę o ucieczce w nieznaną i postanowiłem, że ruszę w podróż dookoła świata – sam, bez ograniczeń, śpiąc tam, gdzie się da, w namiocie, przemieszczając się na własnych nogach oraz tylko lokalnym transportem, również na stopa. Ile czasu zamierzam w niej spędzić? Nie wiem, potrwa, ile potrwa, (...) a tam, gdzie mi się spodoba, zostanę na dłużej.

To ma być moja przygoda życia, a zarazem początek tego, co chcę robić w życiu. Dzięki tej podróży poznam dogłębnie siebie i będę wiedział, jak daleko mogę się posunąć.

Tak więc chciałbym prosić Pana o poradę: czy jedynie z językiem angielskim jest możliwe przebycie takiej drogi i ile taka podróż może kosztować? Czy jest możliwe podjęcie jakiejś pracy w drodze i jak jej szukać? A przede wszystkim: jak mam się zabrać do przygotowań? Jeśli dałby mi Pan kilka rad, będę wdzięczny.

Rafał Wojda

Rafał mi kibicował przez cały czas w trakcie płynięcia Amazonką. Jego liczne emocjonalne, ciepłe wpisy na Facebooku tylko mnie mocniej nakręcały. Obiecałem sobie, że dla takich ludzi dokonam przepłynięcia Amazonki w canoe, aby dać im odpowiedź na ich pytania. Całe życie jest egzaminem, który pokazuje, z jakiej gliny jest się zrobionym. Brian Tracy powiedział kiedyś, że „przemienienie się w osobę z charakterem wymaga nadzwyczajnych nakładów samodyscypliny. Potrzeba również dużo silnej woli, aby zawsze, w każdej sytuacji robić to, co należy”⁶⁵. Ale ludzi trzeba do tego też przekonywać, a można tego dokonać poprzez pokazywanie swoich doświadczeń i przeżyć. Amazonka każdego dnia daje mi spore dawki doznań. Uczy mnie rozbrajać bombę, zanim wybuchnie, zapobiegać problemom, to lepsze niż ich rozwiązywanie. Dzięki Amazonce będę mógł odpowiedzieć Rafałowi i innym na wszystkie zadane pytania i jeszcze bardziej pomóc mu znaleźć jego własną drogę i przybliżyć osiągnięcie celu.

Niebo przede mną robi się pochmurne. Łódź, która miała mnie asekurować, dawno popłynęła do Itacoatiara. Miasteczko słynie z załadunku ziarna na Amazonce. Rytm płynięcia w sumie się nie różni od poprzednich dni mojego „napierania”. A życie nad Amazonką nie jest „pośpieszne”, lecz leniwe. Tutejsze domy wzniesione są ponad poziom gruntu i stawiane na palach. Często można się w nich zatrzymać, wejść, wypić kawę i porozmawiać o życiu, zjeść rybę. Ja tego nie robię, bo nie mam czasu. Gdzieś tam w otworów w ścianach wyglądają ludzie śledzący przepływający statek. Patrzą na moje canoe, które dla nich jest tak egzotyczne, jak dla mnie egzotyczny jest ich styl życia. Czerwona kanadyjka wśród zieleni bardzo mocno się wyróżnia i zwraca uwagę. Wzbudza wręcz niemałą sensację, kiedy mijam kolejną chatę.

Zauważyłem, że często brakuje na lądzie jakichkolwiek śladów wykorzystania energii elektrycznej. Wokół gospodarstw, takich jak na całym świecie, błąka się pies czy koza. W bardzo bogatych regionach domy są pomalowane na jasne i żywe kolory – biały i niebieski. Wydaje się, że akceptowane są tylko te barwy, które odcinają się od wszechogarniającej zieleni i dominującego ziemistego koloru rzeki. W większych osiedlach znajdują się kościoły. Znakiem postępu cywilizacyjnego są również anteny przekaźnikowe telefonii komórkowej i radiolinie systemu zdalnego przesyłania informacji. Czasami na to wszystko spoglądam i próbuję pomyśleć o takim lekkim, bezproblemowym życiu. Momentami żałuję, że muszę się ścigać ze sobą, czasem i gonić swój cel. Bywa nawet, że nie chcę się spieszyć, ale jak pomyślę o dzieciach, to nabieram prędkości. Kiedyś chciałem podróżować i realizować wyprawy spokojnie, wolno, ale kiedy urodziły się dzieci, już mnie to nie interesuje.

Liczy się pogoń i szybkie osiągnięcie celu. Sunę z prędkością 13 km/h. W oddali migoczą światła Itacoatiara, niewielkiego miasteczka po lewej stronie Amazonki. Przy lewym brzegu stoją dwa statki o długości około 200 metrów. Olbrzymy oceaniczne.

Policja militarna otrzymała wcześniej informację, że może się mnie spodziewać wieczorem. Chciałem zatrzymać się bliżej, ale cywilizacja kusi. Rzeka przyspiesza. Canoe pędzi coraz mocniej. Podskakuję na niewielkiej fali. Mijam osady. Robi się zmrok. Rzeka trochę się dzieli, pojawiła się niewielka wyspa, która skłóciła główny nurt. Zakładam latarkę czołówkę i próbuję rozświetlić na pięć metrów rzekę przed sobą. Do miasta jest jeszcze jakieś sześć kilometrów, jak pokazuje mi GPS. Miasteczko jest połączone gliniastą, wyboistą drogą z Manaus. Policjanci z oddziału specjalnego popędzili wcześniej, bo śpieszno im było do domu. Tam mają się wymienić z innym zespołem, który będzie mnie asekurować do Parintis. Im bliżej do statku, tym wyraźniej słyszę jakieś dziwne odgłosy. Jakby ktoś przecinał rurę. Im bardziej się zbliżam, tym odgłosy są coraz silniejsze. Bardzo rytmiczne. Jednak w tych ciemnościach wszystkiego nie mogę zobaczyć ani odczuć.

Widzę jakieś boje. Statek stoi blisko nabrzeża, niemalże wrzynając się w dżunglę. Zacamowany jest na tak zwanej becze cumowniczej. Są one zakotwiczone na dnie rzeki. Cumowanie takiego giganta odbywa się przez symetryczne podanie lin z obu burt statku: dziobu i rufy. Na jednej z beczek około dwustu metrów od statku świeci czerwona lampa. Jestem tak zmęczony, że nie myślę o niej, ale o światłach Itacoatiara. Włączam punktowe światło w czołówce. Próbuję zobaczyć, co jest przede mną.

Rzeka jeszcze bardziej przyspieszyła. Czuję się jak na rzece górskiej, a nawet na fali powodziowej. Płynę z prędkością 15 km/h. Coś niesamowitego. Taka prędkość nurtu tutaj? Czuję jednak jakiś wewnętrzny niepokój. Kręcę głową, delikatnie podnosząc się z kolan, aby zobaczyć, co to jest. Nic nie widać, tylko ciemność i szum rzeki. W oddali widzę jakieś kolejne światełko, które w ciemnościach raz się zapala, raz znika. Szybki nurt mnie porywa, jest zbyt silny.

Próbuję odbić na prawą stronę, aby nie płynąć wprost na to światło, lecz nurt mi nie pozwala na manewrowanie. Ciągle mnie znosi. Wiosłuję, ile sił, aby tylko mnie rzeka nie porwała na to światełko. Nie daję rady i odpuszczam.

O Boże! Nie! W odległości około osiemdziesięciu metrów przede mną widzę linę grubości dłoni zawodnika MMA. Jedna z nich jest przewleczona przez pierścień cumowniczy na becze i wciągnięta na pokład masowca, gdzie została obłożona na polerze. Płynę z taką dzikością, że zastanawiam się, jak wyrwać się z kleszczy tego nurtu.

– Marcin, mocniej, mocniej! – Drżącym głosem próbuję się motywować. – Kurwa, gdzie ta policja, gdzie łódź?!

Wyjmuję racę i odpalam, strzelam w górę. Biorę znowu wiosło i macham, ile mam siły w ramionach.

– Boja, boja, boja! – krzyczy ktoś z podpływającej łodzi.

To policjanci. Rozlegają się krzyki w ciemnościach, które próbuje zagłuszyć nurt rzeki uderzający o beczkę cumowniczą. Pędzi on właśnie w tamtą stronę. Wiosłuję z całych sił, aby zmienić kurs. Rzeka z każdym metrem robi się coraz silniejsza i szybsza. GPS wskazuje prędkość 16 km/h, chociaż nie wiosłuję. Nie mam szans wyrwać się i zmienić kursu. Postanawiam przepłynąć pod liną. Łódź policyjna zbliża się do mnie coraz bardziej.

– Marcin, płyn tutaj! – słyszę. – Dawaj, dawaj!

Dla ludzi, którzy nigdy nie wiosłowali w canoe, jest nie do zrozumienia to, że z takiego nurtu bardzo ciężko się wyrwać. Canoe nie ma motoru, nie zawrócę ot tak, więc wpadam na pomysł, by przepłynąć pod liną. Jakies pięćdziesiąt metrów od beczki. Lina stalowa niemalże kładzie się na wodzie, a ja płynę wprost na nią. Nie ma szans, aby tego dokonać. Jakbym zdobył wysokość i odbił w lewą stronę, mógłbym przepłynąć pod liną, ale im bliżej jestem, tym bardziej czuję niemoc. Strach paraliżuje umysł. Widzę już, jak się wywracam i tracę canoe w odmętach Amazonki. W jednej setnej sekundy myślę: A może wyskoczyć przed boją... Nie! Nie! Może nurt odbije od boi?

Jestem około ośmiu metrów od niej. Lina wisi jakieś trzydzieści centymetrów nad powierzchnią. Uderzają o nią fale spienionego nurtu. Jest napięta jak struna wiolonczeli. Nie mam szans, ażeby przepłynąć pod nią. Przetnie canoe i odetnie mi głowę. Jedyłą szansą jest wyskoczyć i zanurkować. Ta myśl znowu towarzyszy mi w walce z żywiołem. Próbuje ponownie wydostać się z głównego nurtu, zamierzając opłynąć beczkę. Nie daję rady, nurt jest zbyt silny. Uderzam z całej siły wiosłem. Robię potężne zagarnięcia w rzece.

– Nie, nie...

– Marcin, mocniej, mocniej! – krzyczy jeden z policjantów.

Biorę linę dziobową i pokazuję ją policjantowi.

– Łap ją!

Nie rozumiem mnie. Lecz w emocjach i wysokiej adrenalinie bystrość rozumowania się wyostrza.

– Łap linę, łap linę! – wołam i macham ręką.

Rzucam z całej siły zwój lin prosto na dwustukonny silnik Suzuki. Jestem od beczki jakieś czterdzieści centymetrów. Brazylijczycy ściągną canoe jak najbliżej siebie. Włączają drugi dwustukonny silnik. Nurt jest tak mocny, że łódź motorowa stoi niemalże w miejscu. Nie mogą też z całej siły „depnąć”, bo pęknie lina lub canoe się wywróci, a ja z nim i wpłynę prosto na boję. Lina stalowa ze statku z pewnością zrobi mi krzywdę.

W canoe pełno wody. Policjanci patrzą z przerażeniem. Jeden z nich steruje łodzią, a drugi próbuje przywiązać moje canoe do bocznej burty łodzi motorowej. Mimo że policjanci to ci z tych od zadań wodnych, odpowiednik naszej jednostki specjalnej Formoza, są lekko oszołomieni.

– *No fast, no fast! No rapido! No rapido!* – krzyczę, mieszając wszystkie języki.

Dziób canoe zalewa również woda od fal, które wytwarzają dwustukonne silniki policyjnej łodzi. Odpływamy powoli od boi. Uciekamy od nurtu, który kumuluje się na beczce. W canoe tyle wody, że ledwo trzyma się na powierzchni. Jeszcze nie tonie. Po 15 minutach walki zaczynam oddychać spokojnie. Odplynęliśmy na tyle daleko, że nurt słabnie. Przywiązałem się do prawej burty łodzi policyjnej i wylewam wybierakiem wodę. Jest jej, jak na moje oko, 80 litrów. Biorę wdech, ręce drżą, ale jeszcze oddycham. Drugi raz na Amazonce uniknąłem śmierci. Ona może nadejść w najmniej spodziewanych sytuacjach.

Przypomniałem sobie o historii wybitnego himalaisty, Kazimierza Głazka. Jego największym osiągnięciem było pierwsze w historii polskiego wspinania wejście na wierzchołek ośmiotysięcznika. 28 lipca 1975 roku zdobył Broad Peak Middle o wysokości 8016 m w Karakorum. Nie zginął w górach, a... podczas wczasów w Tunezji. W basenie zachłysnął się wodą i utonął.

Tak więc śmierć „chłopców ekstremalnych” niekoniecznie musi nadejść na ciężkim szlaku. Takie jest życie. To cud, że żyję, że lina nie przecięła mnie i canoe na pół. Bez wątplenia brazylijscy marines uratowali mi życie!

– Widzisz, strzelali do ciebie na Ene, a mogłeś zginąć niemalże w porcie! – Carlos, policjant z jednostki specjalnej, klepie mnie po ramieniu i kręci głową, że naprawdę mogło to się skończyć tragicznie.

Obiecuję sobie, że nigdy więcej nie będę płynął po zmroku, a już na pewno nie wpływał do portu o tej porze, zwłaszcza że rzeka jest tak ruchliwa i potężna, że w razie wyrotki nikt by mnie tu nie zauważył. Po prostu bym zginął.

Mimo że jest gorąco, to dygoczę, myślę, że jeszcze nerwy nie odpuściły. Wylewam resztę wody z canoe. Namiot rozstawiłem na pomoście w małym porcie. Jeden ze

strażników obiecał przypilnować mojego dobytku, a ja się udałem z żołnierzami na bardzo późną kolację.

– To było dość ekstremalne – stwierdza Aloisio, pijąc piwo.

– Gdybyś nie wystrzelił racy, tobyśmy nie wiedzieli, gdzie jesteś. Czekaliśmy na ciebie w Itacoatiara, ale coś mnie tknęło, abyśmy wypłynęli na spotkanie z tobą. Czułem, że możesz płynąć blisko statku. Tam też były duże wiry.

– To nie jest *easy way* – stwierdza jego kompan.

Po kolacji patrzę na rzekę i taka myśl mi zaświtała, że mogło być już po wszystkim. Może bym nie umarł, ale straciłbym cały dobytek, sprzęt, a tym samym wyprawa byłaby zakończona. Myślę o celu, a cel wciąż jest bardzo daleko. On może mi się po prostu wysliznąć. Nie można być zbyt pewnym. Postanowiłem, że nie będę wybiegał myślami dalej niż trzy dni do przodu. „Na morzu nie ma planowania” – mówił mi niegdyś kapitan Remigiusz Trzaska, z którym płynąłem na Ziemię Franciszka Józefa. Zrozumiałem, że na rzece też nie ma co planować, bo może to być jakiś zły przesąd. Czuję się trochę poobijany, zwłaszcza moje dłonie są obolałe, ale myślę, że jeszcze się zakleszczą na pagaju. Nie wiem, o której zasypiam – dwa piwa zrobiły swoje.

Rankiem pożegnałem się z ekipą z Manaus. Przyjechał inny czteroosobowy oddział, który ma płynąć ze mną do Parintis. Nie mają wody, jedzenia, nic. Tylko paliwo w łodzi.

– Jak mam płynąć bez żywności? – pyta się kapitan zespołu.

Wzruszam ramionami, bo wciąż mój portugalski jest niekomunikacyjny. Odpływam, a oni mają mnie złapać gdzieś na rzece. Powinni mi towarzyszyć aż do granicy ze stanem Para. Procedura jest niezmienna, spotykamy się w poszczególnych osadach.

Do canoe zapakowałem swoje rzeczy, zakupiłem też 15 litrów wody, trochę żywności i 3 litry coca-coli. Łódka wyczyszczona, liny leżą pod kolanami tak, aby w razie wywrotki szybko je złapać. Wciąż mam w pamięci wczorajszą przygodę. Spojrzałem na zegarek: 11:30. Mocnym pchnięciem pagaja odbiłem się od pomostu i nurt rzeki poniósł mnie na środek mętnych wód.

Płynę sam pogrążony w myślach. Nie ma nikogo, tylko ja i rzeka. Z ekipą mam się spotkać za dwa dni. Nareszcie czuję się tak, jak powinienem się czuć, czyli znowu jestem szczęśliwy, że to robię. Czasami są dni, kiedy chce mi się płakać, a czasami skakać. Takie euforie przychodzą co drugi dzień. Dziś ten dzień, kiedy cieszę się, że tutaj jestem.

Czuję, jak coś mnie łamie w kościach. Na ramionach mam wysypkę odropodobną. Mam nadzieję, że to nie denga. Denga występuje w gorącej strefie klimatycznej. Wirusa odpowiedzialnego za tę chorobę przenoszą komary z rodzaju *Aedes*, zwane komarami tygrysimi z powodu zdobiących je białych i czarnych pasków. Są to owady aktywne przede wszystkim za dnia. Mimo że jestem zabezpieczony dużą koszulą polową typu safari, to jednak te insekty mogły się przez nią przebić. Większość czasu płynę w koszuli z lekkiego nylonu, która jest nie tylko zaporą dla różnych moskitów, ale też zapewnia odpowiednią wentylację i szybkie oddawanie wilgoci przez materiał. W klimacie tropikalnym jest to bardzo ważne. Przed wyprawą dodatkowo się zaszczepiłem, więc nie sądzę, że mogło mnie „coś złapać”. Jednak ta wysypka jest niepokojąca. Już raz podobną miałem po przepłynięciu Rio Napo. Może zejdzie? Oby to były tylko potówki!

Nocuję u rybaków. Życzliwi ludzie zaprosili mnie na nocleg. Na kolację dostaję rybę. Największa rzeka świata to największa różnorodność gatunkowa wśród ryb, dlatego tutaj można spotkać zarówno neonki i skalary, jak i węgorze elektryczne czy płaszczki, nie wspominając o potężnej rybie arapaimie, ważącej średnio 200 kilogramów. Aby zobrazować tę różnorodność, wystarczy stwierdzić, że w Amazonce spotkać można dziesięć razy więcej gatunków niż we wszystkich rzekach Europy. To robi wrażenie.

Kolejna noc i kolejne trudności z oddychaniem – powodem przemożna duchota. Rozświetlam czołówką niewielki zbity z desek pokój. Ćmy lecą prosto na światło. Machając ręką przed oczyma, zgmiotłem insekta, po czym otarłem pot z twarzy. Owad musiał mieć w sobie coś toksycznego, ponieważ po dwudziestu minutach ręce paliły żywym ogniem.

– Owady są trujące, musisz uważać – wyjaśnia mi rybak, kiedy zjadam swoją porcję płatków owsianych nad ranem.

Każdy dzień na Amazonce oprócz myślenia, co by się zjadło wieczorem, gdzie będę spał i czy moja rodzina za mną tęskni, wypełniają jeszcze przebłyski, aby tę wyprawę cały czas ożywiać. Jako że w 2016 roku odbędzie się Olimpiada w Rio de Janerio, może by tak zaciekawić Polski Komitet Olimpijski tym moim triathlonem przez Amerykę Południową? W końcu już o tym myślałem w Tabatindze, ale dopiero teraz te myśli mocno się skonkretyzowały. Tak! Ojciec musi przedstawić PKOl-owi mój projekt. W rozmowie przez telefon satelitarny sugeruję tacie, aby napisał do PKOl-u, przedstawił całe przedsięwzięcie. Mimo że Małgorzata Sobich pełniła rolę rzecznika projektu, to jednak w rodzinie są największe marzenia i tajemnice.

Małgorzata była bardzo dobra w relacjach z mediami. Jako dziennikarka czuła te klimaty, a tata – jak to tata: podchodzi bardziej rodzinnie, po ojcowsku, zapobiegawczo, no i do niego mogłem zagadać językiem czasami ostrym, czasami pełnym rozpacz.

Napisał wymownego maila do rzecznika PKOl-u Henryka Urbasia oraz do dyrektora marketingu PKOl-u Ireneusza Kutuły:

Witam, w dniu dzisiejszym napisałem maila do PKOl-u w sprawie flagi olimpijskiej na ręce Pana Dyrektora Marketingu PKOl Ireneusza Kutuły i Pani Dyktor d/s Logistyki i Kontaktów Zagranicznych Marzenny Koszewskiej. Marcin Gienieczko chce ukoronować swój sptyw, biegnąc z Belém sto kilometrów do Oceanu Atlantyckiego z polską flagą olimpijską. Realizując swój ekstremalny triathlon odbywający się na rok przed Igrzyskami Olimpijskimi w Brazylii, Marcin Gienieczko propaguje sportowy styl życia, pokazując zwłaszcza innym polskim sportowcom, że niemożliwe nie istnieje. Udostępnienie przez Państwa flagi PKOl umożliwi przekazanie innym polskim sportowcom przesłania o niepoddawaniu się i walce za wszelką cenę! Marcin jest przekonany, że warto pokazać, zwłaszcza tym, którzy mają mętnik w głowie, że dadzą radę sięgnąć po złoto, że nawet odległy cel może być możliwy do realizacji. Warto podzielić się tym entuzjazmem i samozaparciem w realizacji wyznaczonych zamierzeń.

Z poważaniem,

Henryk Gienieczko

Władzom Polskiego Komitetu Olimpijskiego bardzo spodobał się mój projekt. Ponadto ambasador Polski w Brazylii, Andrzej Braiter, bardzo dobrze znał rzecznika PKOl-u Henryka Urbasia, a ten zaś znał redaktora naczelnego miesięcznika „Żagle”, Waldemara Heflicha, który również mi kibicował, a jego czasopismo było patronem medialnym mojej wyprawy. Świat jest mały i wiele jest wspólnych znajomości. Nie zmienia to faktu, że bardzo spodobał się wszystkim mój zapał i przedsięwzięcie. Po tygodniowym czekaniu na odpowiedź przyszła informacja z PKOl-u:

W związku z korespondencją skierowaną do Polskiego Komitetu Olimpijskiego pragniemy wyrazić uznanie dla niezwyklego przedsięwzięcia, jakiego podejmuje się pan Marcin Gienieczko. Prosimy jednak o informację o kontekście prośby o zgodę na użycie polskiej flagi olimpijskiej w trakcie tej wyprawy. Jaki związek

ta niezwykła próba ma z ruchem olimpijskim? Czegoś takiego jak „polska flaga olimpijska” nie ma. Istnieje co prawda flaga Polskiego Komitetu Olimpijskiego, ale możemy ją udostępnić wyłącznie w ściśle określonych sytuacjach i okolicznościach. Nie ukrywamy, że bylibyśmy radzi, gdyby Pan Marcin po zakończeniu swojego wyczynu podzielił się z nami (a dokładniej – z czytelnikami „Magazynu Olimpijskiego” PKOl) swoimi wrażeniami z wyprawy, szczególnie w „kontekście przedolimpijskim”.

Następnego dnia tato ponownie opisał wydarzenie i przesłał liczne materiały informujące o postępach całego projektu. Prezes oraz rzecznik PKOl-u uznali mój projekt za coś niebywałego i wielki przykład dla wielu sportowców właśnie przygotowujących się do przyszłorocznych Igrzysk Olimpijskich.

Powierzenie mi flagi olimpijskiej to wielkie wyróżnienie dla sportowca. Poczulem dumę. Wówczas przez głowę przebiegła mi myśl: Marcin, musisz dopłynąć, nie możesz tego spieprzyć! Ceni to w końcu największa organizacja sportowa w Polsce, Polski Komitet Olimpijski!

Tak się narodziła współpraca między mną a PKOl-em, właśnie przez Amazonkę. Rzeka wciąż uczy mnie szukać rozwiązań i docierać do coraz ambitniejszych celów. Entuzjazm popychał mnie i moje myśli dalej. Wyprawa wyraźniej przybrała sportowy charakter.

Sześćdziesiąty trzeci dzień w canoe. Przepływam na drugą stronę, bo widzę, że tam skierował się nurt. Zawsze trzeba czytać umiejętnie rzekę i płynąć z prądem. Mniej się traci sił, a rzeka szybciej niesie. Zauważam olbrzymi statek, który praktycznie płynie tym samym torem wodnym. Przepływam około dwóch kilometrów od niego.

Gdybym był bliżej, jego silniki, które wytworzyły gigantyczne fale, z łatwością wyrzuciłyby moje canoe. Nigdy nie byłem tak blisko statku. Początkowo się przeraziłem, ale znajduję się już w bezpiecznej odległości. Myślę czasami, mijając takie jednostki, że one są daleko, ale płyną tak szybko, że z minuty na minutę odległość się zmniejsza i nie mają możliwości korekty swojego kursu.

Ja w takiej łupinie, a nieopodal mnie dwustumetrowy gigant. Wyjmuję kamerę GoPro. Chcę to nagrać i pokazać na tle Amazonki dwie jednostki niczym Dawida i Goliata. Łupinę i olbrzyma. Przecieram oczy i widzę polską banderę, a na burcie napis „Gdynia”! Radość sięga nieba. Ja pierdolę!

– Gdynia! Gdynia, Polonia!!! – wrzeszczę, jakby opętany przez demona.

Ja tutaj sam na rzece, a obok płynie statek z napisem „Gdynia”!

– Ja piernicę, moje *city*!

Okręt z miasta, z którego ruszyłem na Amazonkę. Tam przecież mieszkam. Nie mogę uwierzyć. Ja piernicę!

– Statek z Gdyni! – powtarzam.

Teraz rozumiem wszystkich marynarzy, którzy odbywają wiele swoich długich rejsów z dala od domu. Swój przyciąga swego. Jak mówi znane porzekadło: „Obca ziemia to macocha, nie wypieści, nie wykocha”. Mimo że nie jestem w Polsce, poczułem się, widząc polski napis „Gdynia”, jakoś swojsko.